№ 31. 3. Sierpnia. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**

Czujemy się powołani nie pomijać milczeniem klęski tak wielkiej jak jest zgorzenie Krakowa. Gdy zważymy iż śród ogromnej szkody poniesionej przez prywatnych, zginęło także w niepowrotnej stracie wiele pomników i zabytków dziejowych; wtedy musimy uznać ten wypadek za jedną z klęsk narodowych. Dla narodów powołanych do działania w obecności, będących w całej sile życia, w kwiecie politycznego istnienia, jest zaginienie dziejowych pamiątek stratą bolesną ale powetowaną. Kilkakrotne zalanie Wiednia, Petersburga, zgorzenie Hamburga, były zdarzenia bez politycznego wpływu.

Dla narodów zaś krzepiących byt swój letargiczny wspomnieniami i nadziejami, jest utrata jednego z zabytków do których się owe wspomnienia wiążą, stratą żywotną. Żywotną dla tego że albo tłumi ostatek pozostałych sił do życia, albo rozbudza nowe siły. — Który z tych dwóch skutków ma mieć dla nas zgorzenie Krakowa, to zależy od nas samych.

Niewątpiemy otem że wypadek ten zwróci uwagę i obudzi współudział całej Europy, nie wątpimy o tem że wszyscy polscy krajowcy będą iść w zapasy w niesieniu pomocy nieszczęśliwym mieszkańcom Krakowa; nam się jednak zdaje ze oprócz podania chwilowej zapomogi Krakowianom należy myśleć o trwalszej pomocy. Niemożna wymagać ani się spodziewać żeby ze składek choćby bardzo szczodrych mogły się powrócić utracone majątki. Przeto zdaje nam się być obowiązkiem reszty krajowców aby przez otworzenie łatwego kredytu, przez utworzenie funduszu i zakładu pożyczek na rzecz miasta Krakowa, przez nałożenie dobrowolne pewnego podatku, któryby z czasem zwrócono, zapewnić Krakowianom środki odbudowania domów, odświeżenia magazynów, wprowadzenia w ruch kupiectwa i przemysłu.

Prócz tej pomocy zaś osiąglibyśmy tę korzyść iżby między Lwowem i Krakowem a oraz resztą kraju bliższe styczności się zawiązały.

My niemożemy niczem innem iść w pomoc jak tylko natrąceniem pomysłów, w których szczegółowy rozkład zapuszczać się nie naszą jest rzeczą: lecz chcąc być w czemkolwiek pomocni oznajmiamy nisiejszem, iż dla ułatwienia zbioru składek podejmujemy się pieniądze przeznaczone na krakowianów odbierać, kwitować i ta-

kowe bezzwłocznie w *Redakcji Gazety Lwowskiej*, jako jedynie przez Rząd do tego upoważnionej, składać. Kto zatem z naszego pośrednictwa korzystać zechce niech się raczy z wrócić *do drukarni p. E. Winiarza w domu p. Tomanka przy ulicy krakowskiej pod Nro 77.* —

Gervinus o Szekspirze.

Gervinus znany w niemieckiej literaturze jako historyk i krytyk zarazem, wsławiony dziełem dawniejszem pod napisem „Dzieje poezji niemieckiej“, wydał niedawno w czterech tomach historyczno-krytyczny rozbiór wszystkich dzieł, źle mówimy dzieł; bo życia umysłowego i ducha Szekspira, którego zeszedł niejako w tajnikach przy samem tworzeniu dzieł swoich. Dzieło Gervinusa choć jest rozbiorem, niemniej jest twórcze, niemniej oryginalne jak same dzieła Szekspira: jestto owoc wielkiej nauki i głębokiego myślenia ważny nietylko dla pismienictwa niemieckiego, angielskiego ale i dla naszego; jest to skazówka dla poetów, nie jakoby się mieli ztąd uczyć czego się nigdzie nauczyć nie można t. j. tworzenia, ale jakie warunki muszą istnieć w dziejach narodu, w życiu prywatnem poety, w jego osobistem usposobieniu i we współczesnym stopniu postępu całego rodu ludzkiego aby wielkiemu umysłowi dać namaszczenie na wielkiego poetę. Naszem zdaniem bowiem zależy to od okoliczności i stosunków minionych, obecnych, nareszcie i tych przyszłych które w powszechnem uczuciu zaszczepione, objawiają się dopiero pod postacią przeczuć lub nadziei; prócz tego od stopnia oświaty narodu i osoby samej: azali gieniusz ma wstąpić na pole czynów, myśli lub wyobraźni i uczucia — stać się bohaterem, mędrcem lub poetą. — Szekspira czas i okoliczności uczyniły poetą. —

Gervinus poprzedza, zastanawianie się nad dziełami Szekspira rysem: jego życia, dziejów sceny i poezji dramatycznej angielskiej z uwagami nad wpływem dziejowych politycznych stosunków na takową i tejże oddziaływaniem; powszechnym stanem oświaty, wpływem innych literatur mianowicie włoskiej na angielską — słowem wszystkiem co, jakeśmy rzekli, przygotowało i uczyniło koniecznem powstanie poetycznego gieniusza jak Szekspir, co niejako pracowało nad torowaniem mu drogi. —

Pierwsze dzieła Szekspira, jego pierwsze próby młodzieńcze są dwie erotyczne powieści wierszem: *Venus i Adonis, i Lukrecja.* — Poemata te należą jeszcze do włoskiej szkoły poetycznej, która wówczas panowała. Przedmiot obrany stosownie do usposobienia wszystkich młodych poetów niemniej jak ówczesnej poezji w ogóle. Jednakże już i wtych pierwiastkach przebija się to zapatrywanie na życie które później tak wysoko wykształcił. Gdyby kto inny powszednim trybem nic nie wynosił prócz miłości i jej rozkoszy, a przyczyny wszystkich nieszczęść miłośnych szukał we wszelkich stosunkach świata tylko nie w miłości samej, nieby mu zarzucić nie mozna; bo czyniłby to co zwykle czynią zakochani i poeci. Szekspir zapatruje się na miłość zupełnie inaczej. On znajduje nie tylko że miłość mieści obok słodyczy mnóstwo goryczy, że miód żółcią zaprawia, że jej roskosze kończą się bólem: on nie tylko uważa iż to się dzieje tak, bo się nie dzieje inaczej — ale że to wynika z istoty i przyrodzenia tej namiętności. Miłość ma w składzie naszego świata swój zaciszny swobodny zakątek, ale skoro w otwarty świat wychodzi, wnet ją spotykają wszelkie umartwienia i przykrości bo musi walczyć z innemi jeszcze istnościami. —

To zapatrywanie się na namiętność, która w najnowszej poezji tak obszerne a właściwie wszelkie miejsce zajmuje, jest również nowe jak dramatyczne, nowe jest: gdyż przed Szekspirem nikt nieprzyznawał innym namiętnościom, oprócz miłości bezstronnie ich prawa; — dramatyczne jest: gdyż tylko przez takie zapatrywanie się pozyskujemy owo obszerne pole na którem się zarówno mężczyzni jak kobiety na najrozmaitszych stopniach

namiętności poruszać mogą. W powszednim i powszechnym użyciu naszej sceny ma się rzecz zupełnie inaczej: tylko sentymentalna miłość jest wysoko ceniona, i niewolno jej prawom w obec reszty świata ująć ani krzty. To zupełnie liryczne pojmowanie służyło Szekspirowi tylko ku temu aby je niektórym pojedyńczym osobom w usta kłaść, jednakże osnować dramat lub choćby scenę jedną na tem wydało mu się niepodobne.

Pierwsze dramatyczne prace Szekspira są to obrobienia tego przedmiotu wszelkiej nowożytnej poezji podług ówczesnych włoskich powieściarzy albo angielskich dramatyków. Wszystkie są pisane stylem ówczesnym, a przyozdobione rzęsiście by nie rzec przesadzone, obrazami, antytezami, konceptami *(concetti)*. Jednakże szczytem tego rodzaju poezji jest *Romeo i Julja* — dramat który, jak się wyraził zimny *Lessing*, miłość sama pisała.

W temto właśnie dziele wykazuje *Gervinus* owo dwustronne zapatrywanie się poety na miłość; który zapewne nie bez własnego ogromnego wzruszenia przedstawił nam tu duszebny obraz dwojga kochanków, a jednak nie był ślepym na to, że *taka* para *w takich* stosunkach *tak* się znaleść i *tak* się zgubić musiała. —

Rozbiór Romea i Julji należy do najpiękniejszych ustępów całego dzieła i możnaby tylko autorowi zarzucić że zbyt często mięsza polemikę przeciw obecnie panującemu widzeniu rzeczy. Łatwo wprawdzie poznać jak zbawienny wpływ mieć może taki rozbiór na piśmiennictwo nasze, gdyby zdania Gervinusa, a raczej Szekspira tylko przez Gervinusa wykazane, przeniknęły życie i piśmiennictwo nasze. Gdyby to prawdziwie *męzkie* pojmowanie miłości, również przeciwne roztkliwieniu umysłu w namiętnej uczuciowości, jak przesadnemu wyzuwaniu się z wszelkiej uczuciowości — to pojmowanie miłości jako pierwiastek duchownego życia konieczny, ale nie jako jedynie to życie owładający — wpłynęło na nasz czas, w tedyby i życie i pismiennictwo nasze uwolniło się od ckliwości również jak od suchości i nudoty. Usiłowanie z jakiem Gervinus chroni Szekspira również od nierozumnego uwielbienia jak też od niezgrabnego a nawet zręcznego kaleczenia jest godne podziwienia. Dzieła Szekspira doznały bowiem w przedstawianiu scenicznem takich przemian i kalectw, nawet ze strony pierwszego rzędu artystów, jako *Garricka* w Anglji a Schrödera w Niemczech, że najszczytniejsze piękności obcinano i zastępywano je najpowszedniejszemi teatralnemi tiradami. I *Göthe* nie jest wolny od grzechu względem *Romea i Julji.*

Jak w innych dziełach Szekspira podaje nam Gervinus nitkę Ariadny aby przebyć z pewnością przez rząd scen najwytworniej skomplikowanych do przybytku najświętszego, aby zrozumieć cały rozkład i panującą myśl — tak tu podaje nam dwie nitki i zostawia wolny wybór między *rozumową* a *uczuciową* stroną dzieła. Wpierwszym względzie jest założenie dzieła nauka mądrości, którą ojcu Lorenzo w usta kładzie tj. *iż zbytek każdego choćby najczystszego użycia przemienia słodycz w gorycz; oddanie się jednemu choćby najszlachetniejszemu uczuciu pociąga przewagę tegoż za sobą,* i czyni z uczucia namiętność: ta przewaga zaś *musi zarówno męczyznę jak kobietę,* zciągnąć z ich przyrodzonego stanowiska: *że miłość* jest tylko towarzyszką życia, *nigdy zaś niepowinna całkiem zapełniać życia i powołania, zwłaszcza mężczyzny;* że w całej gwałtowności swego pierwszego zapędu miłość jest szczęśliwem upojeniem, które już wedle istoty swojej niepowinno nigdy trwać długo w równej sile — jestto, jak poeta obrazowo mówi, kwiat cudnego zapachu którego trucizna jednak, gdy ją zamiast pożywienia połknąć, zabijającym dzieła sposobem.—

Ztądby można mylnie wnioskować że poeta więcej wagi nadaje surowemu sądowi mądrej rozwagi, niż udziałowi uczucia i serca, i że za nadto oziębłe bierze tę tak rzadką miłość, że ją prawie potępia. Ale przeciwnie okazuje się gdy przypomnimy ruchawe żywotne przedstawienie całości, ciepło i barwność w oddaniu stosunków, zawikłań, charakterów, uczuć, zapałów i namiętności. Gdy to ujrzymy musimy pomimo owego zimnego i surowego sądu pokochać tych dwoje kochanków,

których miłość tak czysta i piękna przeważa inne namiętności, wyłamuje się z siłą z form konwencji, niezmienia się pomimo stosunków zewnętrznych i nieszczęść walących się całym nawałem na nich, przezwycięża narodową nienawiść, niemożemy pomimo cieniu jaki pada na mężność charakteru Romea, potępić jego miłości, bo ona jest szlachetna jest piękna, wielka; płakać musimy że padł ofiarą namiętności, ale płakać jak nad zgonem szlachetnego dziecka; żałować musimy że nie mieli pola wywrzeć gdzie indziej ogromną moc swego ducha i wyczerpnąć pełń swego życia jak tylko w ulotnym, chwiejnym szczęściu miłości, któreto szczęście ich pochłonęło, błysnęło tylko aby rozwidnić ciemną noc która ich otaczała.

Wreszcie i to smętne wrażenie zostaje uśmierzone przez to, iż padli ofiarą aby zgasić zaciętą nienawiść swych rodzin, że sprowadzili przez upadek swój szczęśliwszą i weselszą dobę dla Werony. —

(Dokończenie nastąpi.)

Listy z Turcji.

Szumla 10. Czerwca 1850. — Od wstąpienia na ziemię turecką, aż do internowania i podziału naszego *) wiesz wszystko, bo *Gazeta augsburska* zawierała o nas dosyć prawdziwe wiadomości. Pozostaje mi zatem o teraźniejszości mówić. Pułkownik J. którego rząd turecki postanowił nam za komendanta, jest tęgi żołnierz, prostoduszny i uczciwy człowiek, ale na naczelnika emigracji za słaby, zwłaszcza dla tutejszej, która wstąpiwszy na ziemię turecką gwałtem zrzucała z siebie barwę wojskową i tym sposobem wymykała się z pod tejże władzy — rząd turecki zaś niechciał nas uważać jak tylko za legjon i obchodził się z nami stosownie do tego. Już w poprzednich listach moich wspominałem iż żyjemy w jedności i zgodzie czuwając jedn nad drugiemi, staraliśmy się najusilniej o jedność politycznego zdania, wiedząc z doświadczenia co znaczą partje za granicą. Tak trwało dosyć długo, pomimo że wrogowie silili się często nas poróżnić; ale przy końcu powstało zamięszanie i nieukontentowanie, aby poskromić hańbę nam czyniących wybraliśmy sąd koleżeński. Ale nieszczęście chciało, że sąd ten, który potem komisją nazwano, stracił swą tendencję i naśladował centralizację paryzką, nawet więcej bo zaprowadzono rzeczpospolitą *in partibus*, rząd republikancki w rządzie monarchicznym. Kilku z nas przewidując złe następstwa i scysję między rządem a emigracją (co też wkrótce nastąpiło) wzięło sobie za obowiązek nie być obojętnymi, jak wielu między nami było, ale rzecz tę zaraz sprostować, zbijając pisemnie punkt za punktem statuta, tendencję, czynności i wyniki — lecz na upór i głupotę lekarstwa nie ma. Kilku zaś innych niechcąc się zapuszczać w polemikę długą, protestowali ustnie, ale że Polacy nie mają zwyczaju dysputować nienaruszając osobistości, zatem massa zaciętych pojedynków była, a wszystko na pistolety.

Szczęściem dla wszystkich nadeszło w tej chwili stanowcze i ostateczne rozstrzygnienie: dokąd kto chce tam się może udać (własnym kosztem), każdy dostanie paszport, a prócz tego ofiarował rząd turecki zostającym w kraju po 250 piastrów (20 złr. 50 kr. mon. konw. bo piaster jest to 5 kr. m. k.) a wydalającym się za granicę po 500 piastrów.

Ale ponieważ rząd zarazem wymówił sobie nadal wszelkie pretensje emigracji, przeto *komisja* wezwała aby się nikt pojedyńczo nie rozjeżdżał, a to z tej przyczyny, iż „*za pojedynczym nikt się nie ujmie i każdy będzie musiał sam się starać o swoią exystencję — gdzie przeciwnie, jeżeli, się wszyscy razem trzymać będą, en masse wyjadą do Francji, Anglii, a gdyby ich tu nie przyjęto do Ameryki, wszędzie ich rządy wspierać będą i muszą, a co największa, staną się faktem żyjącym dla ciemięzców Europy.*”

Byłoby to piękne, ale próżne słowa! — Ja niewidzę żadnej korzyści dla każdego pojedynczego a tém mniej dla ojczyzny w tem żeby się włóczyć w kupie, być wiecznym żebrakiem, żyć z gorżkiej i szczupłej jałmużny rządów — marnować czas tak drogi, kłócić się między sobą a nareszcie mordować się w pojedynkach.

Nie — ja tu zostaję w tym „*obrzydłym*” kraju tureckim z obawy tylko bym się za granicą nie zdybał gdzie z „*komisją*.” — Zdaje mi się, że jeżeli będę kiedy powołany do nieba, a "*komisję*" tam zastanę, natychmiast się będę prosił do piekła.

Wyjeżdża za granicę 450 *en masse* — 250 zostają w kraju i rozpierżchli się w tej chwili już po wszystkich głów-

*) Na początku Kwietnia udało się około 150 powiększej części poddanych rossyjskich na wyspę *Maltę*, ztamtąd wyruszyli do Anglji, lecz pewnej burzliwej i ciemnej nocy zostali rozbici o skałę nad brzegami Afryki. Niebezpieczeństwo wielkie być musiało, kiedy kapitan okrętu puściwszy kilkanaście flaszek z kartkami (że zatonęli) zabrał wszystkich majtków na łódź i tym sposobem ratował się, zostawiając tonący okręt i Polaków rozhukanym żywiołom. Z tych jedni wodę pompowali, drudzy wzięli się do żagli które wiatr porozwiewał — inni zaś pamiętali o spiżarni i kuchni, chociaż w ostatnim momencie, bo wiadomo że na statkach źle się żyje, niektórzy zalewali się rumem by pokryć swoje tchórzostwo. I tu Bóg nie opuścił biednych Polaków — we 12 godzin pojawił się kapitan z Arabami w sam czas, bo rozbici byli o dwie mile od brzegów oddaleni. Chcąc opisać ich awanturę, wyratowanie, przyjęcie, pobyt między Arabami nad brzegami Afryki trzebaby dwa tomy napisać — dość na tém że nikt nie zginął i wkrótce powrócili znowu do Malty gdzie ich z radością powitano.

niejszych miastach. Rząd turecki przyjmował w tych samych stopniach, jakie kto z kampanji węgierskiej wyniósł, lecz ci muszą wiarę Mahometańską przyjąć. Takich będzie niespełna 100. Węgrów większa prawie połowa zturczyła się, druga połowa (przeszło 200) jedzie prosto do Ameryki.

O Wschodzie miałem tylko z tysiąc i jednej nocy, a zatem dość bajeczne wyobrażenie — dziś mam inne; niechcę przedwcześnie opisywać ten cudnie piękny i bogaty kraj, zamieszkały przez ciemny i obrzydliwy naród, póki nie poznam *Stambułu*, najgłówniejszego miasta na wschodzie.

Stambuł, 30. Czerwca. Z Szumli udałem się do Warny. Po raz pierwszy ujrzałem morze, wrażenie jakie na mnie zrobiło trudno opisać. Na brzegu między dwoma pasmami gór stoi Warna, forteca — miasto jak wszystkie inne miasta tureckie: z daleka jak stare nablanszowane i wystrojone kokiety, wspaniałe, imponujące nawet zachwycające— ecz strzesz się zbliżać do nich! bo z obrzydzeniem zostaniesz rozczarowany. Z Warny nająłem za dwadzieścia piastrów miejsce na statku żeglowym do Stambułu. Był to statek kupiecki, prawdziwa arka Noego, drobiu różnego rodzaju, kur, gęsi, kaczek, indyków, przeszło dziewięć tysięcy; krów, kóz, baranów, szczórów i myszy okrętowych bez liku — do tego kilka starych Turczynek, które sobie nigdzie miejsca znaleść nie mogły. Smród, krzyk i nieporządek, aż się źle robiło; usiąść nie było gdzie, położyć się tém mniej; nareszcie wypatrzyłem sobie miejsce w samym nosie okrętu, tam umieściłem się na grubej linwie kotwicowej, do której dla pewności, bo niebardzo pływać umiem, uwiązać się musiałem; przez dwa dni nie było żadnego wiatru zatem podróż szła spokojnie i bardzo powoli. Trzeciego dnia zaczeły Delfiny pokazywać się koło statku, i wywracać koziołki; majtkowie uważają to za nieochybny znak nadchodzącej burzy: jakoż rzeczywiście w parę godzin powstał silny wiatr; mnie zmorzył jakiś dziwny sen, aż mnie krzyk przebudził, zwiastujący wielkie niebezpieczeństwo. Statek party przez wiatr pochylił się na jedną stronę i napłyneło wiele wody, którą pompowano pozwijawszy żagle. Okropna jest widzić statek na dnie wodnej przepaści a przed sobą ogromną również wodną górę która zdaje się w każdej chwili walić na statek: lecz tak nie jest — w okamgnieniu znajduje się statek na szczycie tej ogromnej góry nad przepaścią, w którą leci jak strzała. To się ciągle powtarza — patrzałem na to, nie mogę w powiedzić obojętnie, lecz spokojnie, przeżegnałem się — a umocowawszy się lepiej do linwy napowrót usnąłem pomimo krzyku wszystkich mieszkańców arki, huku wiatrów i morskich bałwanów. Czwartego dnia odbyłem morską chorobę. Piątego dnia zostaliśmy wróceni do Bosforu, Bosfor cały wjazd do Konstynopola jestto ósmy cud świata. Brzegi po obu stronach Bosforu są górzyste, a na brzegach z początku forteczki i warownie obsadzone działami i wojskiem — potem domki, wspaniałe pałace i domy większe przeplatane ogrodami i chłodnikami zdrzew cyprysowych wielkości naszych sosen lub smerek; domy są malowane a tak przy brzegu budowane, że z domu do domu łódkami się przewożą. Jadąc środkiem Bosforu, przedstawia się widok cudowny, zmieniają się najpiękniejsze krajobrazy jak w panoramie. To trwa przez trzy godzin, bo trzy godzin trzeba jechać z Borforu do Stambułu, a wydaje się krótką chwilą nareszcie widać sam Stambuł, którym niedaremnie Turcy tak się szczycą, widok wspaniały, majestatyczny, lecz nie tak uroczy jak brzegi Bosforu.

Po lewej stronie leży miasto Skutari na brzegach już Azji a w wodzie przed niem klasztor grecki: po prawej miasto Galata i Pera, a w środku Stambuł. Parowe statki uwijają się jak ruchome pracownie cyklopów, okręta wojenne i kupieckie stoją z lasem ogromnych masztów przy brzegach, gondolierów bez liku; ruch nadzwyczajny, bo prawie cały świat Konstantynopolski na łódkach. Wysiadłem na Galacie, która po większej części przez naszych żydów zamieszkana. Do nich się udałem dla wyszukania mieszkania. Jak piękny i wspaniały Konstantynopol zdaleka tak szkaradny obrzydliwy we wnątrz: ulice wązkie, na trotoarach można powykręcać rogi, gnoju, psów żywych i zdechłych co nie miara, domy drewniane i niechlujne, ogień tu prawie codzień, a jak się pali, to porządnie: dwieście, trzysta nawet i tysiąc domów naraz. Mnóstwo dziewcząt, Greczynki, Ormianki, Włoszki, Francuzkie, Czerkieski, Murzynki, i. t. d. licho wie kto i gdzie je rodził; jedna piękniejsza i młodsza od drugiej, a wszystko to rozpustne i bezwstydne, przejść niemożna przez ulicę, każda zaprasza (proszę pannom oświadczyć że tu w Stambule na Galacie wolne umizgi i żaden nóż nie grozi śmiercią za to). Nareszcie znalazłem pomieszkanie najtańsze w całej Galacie, płacę 60 piastrów na miesiąc, mieszkam jak wróbel pod samym dachem, niby to mieszkanie niby strych, ale podobniejsze do drugiego. Przynajmniej niema tak wiele pluskiew, a te są tak powszechne tu, że u samego Sułtana być mają: za to mam piękny widok z mego okna, czyli raczej dymnika widzę całej Bosfor, Skutari i wybrzeża azjatyckie, pół Galaty i Pery i część Stambułu tureckiego z morzem Marmora.

Stambuł zdaje mi się strategicznym i handlowym względzie mieć pierwsze i najdoskonalsze położenie w całej Europie, a nawet na całej ziemi. Oprócz Sułtana jego dworu i magnatów tureckich mieszka tu mnóstwo cudzoziemców, bankierów, spekulantów, kupców, gondolerów, masy żydów pestańskich i naszych galicijskich, majtków i wszetecznic, żyjących prawie zbytkownie, krocie; przytem jak mówią wojska 100,000. Ztąd pochodzi okropna drożyzna osobliwie co do pomieszkania, żyjąc bardzo skromnie ledwie się 1 Zł. m. k. na dzień obejść można. Za wodę

nawet trzeba płacić i to za *deszczówkę* bo innej wody do picia niema tu prawie. Sposobem zarobkowania a raczej zatrudnienia powszechnym jest tu *kupiectwo;* każdy prawie jest kupcem i ma w swoim domu sklep z czemś, chociaż od niego nikt nie kupuje są to zwykle kupcy z antenatów, towary mają odziedziczne, lokal ich nic niekosztuje. Pomimo tego mieszkańcy tu żyją tak pojedyńczo, że czego sami zrobić nie umieją tego niekupują, bo uważają to za niepotrzebne. Specialność w przemyśle jest tu prawie taka sama jak we Francji, następujący wypadek niech posłuży za przykład.—Przyjechawszy do Stambulu chciałem się ogolić, wstępuję do golarni lecz jakżem się zdziwił gdy na wynurzenie mojego życzenia Turek z flegmą odpowiada: *Jok* (co znaczy że niebędzie golił). Idę do drugiego, ten także: *Jok*. Coż u licha czy im się moja twarz z hiszpanką niepodobała pomyślałem, idę więc do trzeciego bach i ten odpowiada: *Jok*. Pytam więc nareszcie: Dlaczego?—Bo ja tylko głowy golę. A któż tobie brodę golił. Tamten naprzeciwko—a więc osobno są *golibrody* a osobno *goligłowy*. Rzemieślnicy mają tu piękny zarobek. Znajomość języków bardzo popłaca.

Dla Polaków mających mały kapitał w ręku jest tu wielką pomocą kolonja *ks. Adama Czartoryskiego* pod zarządem *p. M. Czajkowskiego;* położona pięć godzin od Konstantynopola, dwie wodą a trzy lądem; zamieszkała przez samych prawie Polaków nieszczęśliwych, którzy od Moskali do Czerkiesów a od tychże do Turków przeszli, lub pojedyńczo sprzedani zostali. Ziemia bardzo urodzajna i obszerna, wprawdzie krzakami pokryła, które trzeba korczować, ale jest przytem mnóstwo sianożęci i zwierzyny wszelkiego rodzaju. Kto ma pieniędzy tyle aby sobie wystawić budynek inwentarz sprawić, trzymać kilka ludzi pole wykorczować i zasiać go, to może tak blizko Stambułu wkrótce znaczne zyski odnieść. Dziwi mnie że żaden z naszych posesorów, którzy się w kraju niemogą niczego dorobić nie przychodzi na tę myśl, wolność jest tu w całem znaczeniu słowa, podatku żadnego nie płacą nawet małą zapomogę na początek dostają, a opuszczaąc kolonję, wolno swoją część przedać jak własność.

Kto lepiej wypije.

Z Nie-bajek

przez Autora Listopada.

(Dokończenie.)

W kilka dni potem nastał wielki piątek. Ja zaspałem się z rana, ale około południa wyszedłem z domu, żeby nawidzić pułkownika Rulkura, który miał kwaterę na Freta ulicy, gdzie dogorywał od strzału co go dostał od rotmistrza Truksesa. Biedny Rulkur umarł, a ja w części mam jego śmierć na mojem sumieniu, bo na tym pojedynku Truksesowi sekundowałem, ale Bóg świadek, iż myślałem że to się skończy na butelce, kto mógł przewidzieć, że natrafi na taką zawziętość. Nie było sposobu ich pojednać. Owoż tedy myślę sobie: nie byłem w kościele, ale przynajmniej nawiedzę chorego bo i to dobry uczynek.

Wychodząc od siebie, spotykam Janikowskiego, on mnie pyta, gdzie idziesz?—do Rulkura, koło którego bardzo zle, nie wiem czy go znajdę jeszcze żywym.—Quinque djabłów! Wpana nawiedziny nie wiele mu pociechy przyniosą, bo, żeś był świadkiem bitwy, jesteś pod exkomuniką, wolałbyś się wprzódy wyspowiadać. Bo państwo wiecie, że choć pan Janikowski wielki kłótnik, to mu nie przeszkadza być pobożnym i posłusznym prawu kościelnemu. A ja,—panie Boże, przyjm to za żart, — wyrwałem się jak ostatni głupiec, bo powiedziałem: a ktoby tam uważał na exkomunikę! Na te słowa pan Janikowski się przeżegnał, i odszedł odemnie wzruszywszy ramionami.

Idę, idę, aż doszedłem, na Freta ulicę, po pod kamienicę gdzie Rulkur leżał bez nadziei życia. Szturmowałem długo żeby się z i nim widzieć, nie puścili mnie słudzy, ja z nimi zacząłem się kłócić, narobiło się krzyku, aż siostra Rulkura wyła do sieni, ale jak mnie zobaczyła, złajała mnie z ostatnich słów, że we mnie widzi wspólnika morderstwa jej brata, i że, jeżeli nie odejdę każe mnie wyrzucić przez żołnierzy, którzy napełniali sień swojego pułkownika. Nie było co robić, wyszedłem prawie bez przytomności, w taką wściekłość baba mnie wprowadziła.

Wychodzę na ulicę, w oczach mi się zaćmiło a w gardle zrobiło się sucho. Wtem przybliża się do mnie jakiś niemczyk, i mówi, ale po polsku, tylko złamanym językiem: Mój pan, jaśnie wielmożny starosta, z okna swojej kamienicy poznał pana, i posyła mnie żeby pana do niego zaprowadzić, gdyż on życzy sobie z panem się spróbować, u niego czeka na pana beczka starego wina Est Est. — Słyszałem o tem winie, jeszcze będąc w szkole, ale go nigdy ani kosztowałem, ani nawet widziałem. Sucho mnie było w gardle, a więc nie byłem od tego, a nic dziwnego że tyle się nachodziwszy, rad byłem wypocząć przy winie. Jednak zapytałem: jaki starosta? niemczyk wymienił jakieś starostwo, o którem nigdy nie słyszałem, ani tego nazwiska nie pamiętam.

Wszakże nie odmówiłem zaproszenia, i poszedłem za niemczykiem do sąsiedniej kamienicy, gdzie miał mieszkać ów gościnny starosta. Wchodzę do obszernej sali, widzę na środku beczkę, a w około niej w półkole siedzących kilku niemców w czarnych pludrach, a na beczce siedział także niemiec, ale szkaradniejszy od wszystkich postaci, lubo trudno widzieć ludzi tak brzydkich, jak ci, którzy beczkę otaczali, a ten był sam gospodarz, bo odezwał się śmiejąc się przeraźliwie: Mości panie Komarzewski, wpan w jednym domu powiedziałeś, żeś rad się sprobować ze

mną kielichem, żeby doświadczyć co to jest być pijanym, otoż jemu służę. Chłopczę, podaj-no mojego kielicha. Aż tu niemczyk, ten właśnie który mnie przyprowadził do kamienicy, przynosi róg ogromny zakręcany i wydęty. Starosta odtyka czop od beczki, napełnia róg winem, przykłada róg do ust, i leje go w swoje gardło, nie powiedziawszy wprzódy czyje zdrowie pije. Mnie wziął pusty śmiech bo jak wspomniał o tem że miałem powiedzieć, iżbym był z diabłem się upić, przyszło mnie na myśl że to musi być sztuka pana hetmana, i o tem się tak przekonałem, że kiedy mnie podano róg napełniony do wypróżnienia, ja chcąc dać poznać że umiem poznać się na żarcie, odezwałem się na cały głos: „Zdrowie JW. Branickiego, hetmana wielkiego koronnego„ a tu wszyscy zaczęli śmiać się i wrzeszczeć vivat. Ja wipiłem, wino dobre mi się zdało, ale tak ciepłe jakby było grzane. Strach pomimowolnie zaczął mnie ogartywać.

Róg z kolei nas wszystkich obszedł, aż powrócił do gospodarza. Ale moja nauka w las nie poszła, bo już odtąd róg bez czyjegoś zdrowia kolei nie obchodził. I tak odezwał się starosta: zdrowie JO. księcia Ponińskiego, podskarbiego koronnego, a wszyscy na to śmiejąc się: vivat vivat! I oddano mnie róg, ja go wypiwszy oddałem próżny sąsiadowi. Potem starosta wypił zdrowie JW. Moszyńskiego sekretarza koronnego, Jw. Raczyńskiego, marszałka nadwornego, potem JW. Bielińskiego czesnika koronnego, i wielu innych takich, a wszystko w moje ręce. Ja zdrowia najskrypulatniej spełniałem, a krzyki, śmiechy i vivaty coraz były głośniejsze, a we mnie coraz większy strach się wmagał, aż nakoniec jak niemczyki zaczęli błyskać oczyma jak wilcy, a dym wydobywać się z ich piersi, a na czole gospodarza jak wytrysną dwa rogi, poznałem, że już to nie figiel JW. hetmana, ale że rzeczywiście biesiaduję z djabłami.

Zmieszałem się, ale pokrzepiłem w sobie odwagę jak mogłem, kiedy jeden z tych diabłów, jakimś przerywczym aktoratem, bo już w piciu zaczynał się nieporządek, porywa róg napełnia go winem, i mówi: Zdrowie naszego króla i pana, Aleppa Satana, który tu na tej beczce siedzi, w ręce wpana mości Komarzewski! — Ja na to: Nie fatyguj się wpan, bo ja tego zdrowia ani myślę wypić. — A szatan, bo to on sam siedział na beczce, do mnie: A dla czego ty mojego zdrowia wypić niechcesz? — Dla kilku przyczyn, — raz, że gospodarz gościa pierwszy zdrowie winien wypić, a nie gość gospodarza, — powtóre, że choćbyś wpan i chciał się poprawić, to ja już zdrowia takiego nie przyjmę, wpan nieprzytomnych tylu zdrowie piłeś, o mnie zapomniawszy, niechże oni, a nie ja, wpana zdrowie piją, byle nie w ręce moje, — potrzecie, że ja mam Stanisława Augusta króla i pana, a więc wpana za takiego uznać nie mogę, a z resztą choćbym miał się oddać w poddaństwo komu innemu, to pewnie nie wpanu. — A trutniu jakiś, krzyknął szatan, moje wino pijesz, a mnie za swego pana przyznać nie chcesz! — To piękna gościnność u wpana, że zapraszasz do siebie na wino, to już przywłaszczasz sobie prawo łżyć gościa. — Tu szatan odezwał się do jednego diabła, który obok mnie siedział: Natoromoś-no tego głupca, żeby się nauczył do mnie przyzwoicie mówić. Djabeł uchwycił mnie za czuprynę, ale udało mi się od niego wyrwać, i przybliżyłem się do beczki. A już we mnie gniew był przemógł wszelkie uczucie bojaźni. — Mospanie szatanie rzekłem, czego wpan chcesz odemnie? — Oto żebyś się przedemną ukłonił jak przed swoim panem. — Jużem wpanu powiedział, że to być niemoże. — A on mnie: a czy ty nie wiesz, że ja jestem panem nad panami, a ciebie gałganie ulepiono z gliny podłej. — A ja na to: a ciebie z gnoju, durniu, i dałem mu policzka z całej siły. — A na to Szatan: dam ja tobie, weźcie go i dajcie castigationem domesticam. Wtem ćma diabłów różnego kształtu i wzrostu na mnie się rzuciła, tak, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mogłem, a potem gdzie znaleźli jaki utwór w mojem ciele, wetknęli tam miech, i zaczęli dmuchać, że coraz więcej nadęciem rozszerzałem się, tak, że wkrótce zrobiło się dla mnie ciasno w obszernej tej izbie, już ściany dotykałem się brzuchem. Przytomność straciłem, i nic nie pamiętam co się zemno stało, aż do pierwszej środy po świętach, bo dopiero wtedy otworzyłem oczy. I pierwszą rzecz co zrobiłem, jak mnie pan Bergonzoni pozwolił wyjść z kwatery, że poszedłem wprost do konfessionału, gdzie całkowite to wydarzenie wyznałem w spowiedzi. A ksiądz ze mnie zdjął exkomunikę i kazał mi cały rok suszyć piątki, i w tych piątkach nie tylko mięsiw i gotowanych potraw, ale nawet i wina nieużywać a na piwku poprzestać miałem. A ja rozkaz mojego spowiednika wypełniam, i nie tylko przez rok, ale całe życie będę suszył piątki, i teraz jako w następnych czasach toż samo będzie, z kwatery w piątek nie wychodzę, żeby nie było pokusy do kielicha, a nic modlitwy nierozrywało. I na tem skończył swoją relacją.

Ze Lwowa. (Nadesłane.)

Dr. Antoni Sławikowski,

otrzymał złoty krzyż zasługi z koroną. Jest to pierwszy z professorów i Polaków któren tak wyszczególnionym został. Dowiadując się o zasługach tegoż męża i jego biografji nieco panu dobrodziejowi udzielam — prosząc: byś pięknem swym sposobem ukrasił moje pojedyńcze słowa, w Tygodniku swoim*)

*) Redakcja, rozumiejąc iż głos o zasługach tego zacnego męża pochodzący z publiczności ważniejszym jest dowodem powszechnego uznania jego zasług, niżby mógł być głos samej tylko Redakcji, mieści artykuł szan: korrespondenta bez odmiany, dołączając tylko piękny wiersz Magnuszewskiego. —

Antoni Sławikowski lwowianin, ukończył studia lekarskie w Wiedniu, graduowany jako doktor medycyny i osobno jako okulista w r. 1819. Nieosiągnąwszy jeszcze ostatni stopień już był przez sławnego professora Beera na assystenta proponowanym. Słuchał pod 3 profesorami przedmiotu okulistyki — pod Barthem prywatnie, pod Prochaską i Beerem publicznie.

Już w roku 1819 było mu miejsce przy wszechnicy w Wilnie przez Józefa Franka ofiarowane.

Wróciwszy do Lwowa został assystentem i razem sekundaryuszem kliniki i oddziału wewnętrznych chorych — pózniej fizykiem szpitalu sióstr miłosierdzia, fizykiem szpitalu więźniów — fizykiem powiatu lwowskiego podczas pierwszej cholery, i inne położył zasługi jako lekarz.

Pierwszego Stycznia 1821 — zatem trzydziesty rok temu, powierzono mu zastępstwo professora zmarłego Chladeka a w następnym roku mianowanym został p. N. pana aktualnym bezpłatnym i dotąd to jest 30ty rok temu bezpłatnie tę posadę dla dobra ludzkości piastuje — również dawno léczy bezpłatnie w starozakonnych szpitalu chorych na oczy. W roku 1840 powierzono temu mężowi dobro ciemnych w kraju: został okulistą krajowym. Ile w tym zawodzie umiał być dobroczyńcą czynnym, ludzkim, i uszczęśliwiającym, o tem świadczy najświętniej ś. p. Magnuszewski.

Operuje co rok do 300 (żaden w Europie tyle:) ciemnych — a znane są tych działań skutki. Jest bezpłatnym doktorem instytutu głucho-niemych i ciemnych, który to ostatni instytut jemu głównie swoje założenie winien.

Odbywał kilka razy podróż za granicę i w roku 1832 był na nowo wezwany do Warszawy na posadę świetną. Prawy ziomek odmówił, by rodzinnemu krajowi służyć.

Światu literackiemu znany z różnych pism chociaż ile się dowiadujemy od wielu lat mnóstwo materyałów w okulistycznym zawodzie zgromadzonych ukrywa w tece swojej ze stratą dla ciepiącej ludzkości i świata uczonego.

Załączamy w końcu wiersz *Magnuszewskiego* na cześć *Sławikowskiego* napisany, którego cel i wartość poetyczna niech usprawiedliwi powtórzenie. —

Antoniemu Sławikowskiemu.

Za przywrócenie wzroku mej Matce.

Na ustach wytartych boleścią codzienną,
Na czole zawitym troską bez nadziei
Zbudziłeś nam życie i rozkosz z kolei
Boś swoją prawicę, anielską, bezcenną
Przyłożył na oczy, — a sztuką dojrzały —
Rzekłeś Jéj oczom — przejrzéć — i przejrzały!

Ona była mi matką — ze swym starym wiekiem
Została sama jedna, by pociemku marzyć,
By o dawnych uczuciach ze swym sercem gwarzyć,
Bo przyszłość Ją oblokła wiecznym, czarnym stekiem
W którym się jedna pamięć widna mogła żarzyć,
Dziś, jutro, juz Jéj było niczém — chwila wiekiem

Rękę przyjaciel podał, nie widziała dłoni,
Uśmiechem chciał okrasić Jej myślenia ramy,
I uśmiech, pocieszyciel nie przybłąkał do niej,
Bo w twarzy jak w otchłani siadł smutek toz - samy,
Wdowią żałobą, wdowiéj nie popuszczał dłoni,

Ulitowałeś wdowy, — wzrok rzuciłeś w oko,
W Jej myśl i duszę, nowyś świat ocucał,
Działałeś, czułeś po bosku — głęboko —
I nie drgnęła Ci ręka, boś nią światło rzucał,

Raz cino — czy pamiętasz? — w objeździe po kraju,
Przyszedł do Ciebie starzec z zapadniętém okiem
Podniosłeś ramię chcąc go udarować wzrokiem.
Chwila — i juzbyś dzieło skonał po zwyczaju
Lecz on rzekł na pół z płaczem; „Ojcze ja mam dzieci!"
Opadły Twoje ręce, łza Ci z oczu leci,
Skonał doktor — stał człowiek, serce wytrąciło
Naukę, i poludzku w Twojém łonie biło.
Dziś widzę tego starca, dziś Twą łzawą postać,
On nieszczęsny, dzień dłużéj musiał ciemnym zostać,
Pókiś nie zamknął serca, w oprawę nauki.*)

Wdzięczność Ci mistrzu.! bo znasz wszystkie sztuki
Któremi czucie wojować należy
Ewanielicznie ręka Twoja bieży
Zdzierać ślepotę — i jak chce święta ustawa:
Nie wie Twoja lewica — co im czyni prawa,"

*) Zdarzenie prawdziwe w cyrkule złoczowskim.

D. Magnuszewski.

Wydawca: ***Karol Wild.*** Redaktor: ***Karol Widmann.***

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.